

Tajwan jak Finlandia



RADOSŁAW PYFFEL

Prezes Centrum Studiów Polska–Azja

Tajpej zbliżyło się ostatnio do Pekinu. Czy oznacza to, że dojdzie do zjednoczenia? Bardziej prawdopodobne jest to, że w przypadku Tajwanu utrwali się model częściowej zależności.

11 lutego w Nankinie doszło do historycznego spotkania Wang Yu-chi, szefa tajwańskiej Rady ds. kontynentu, i jego odpowiednika Zhang Zhijuna, dyrektora biura ds. Tajwanu. Było to pierwsze oficjalne spotkanie przedstawicieli tych dwu państw od 1949 r., czyli od chińskiej wojny domowej.

Zbliżenie Tajwanu z kontynentalnymi Chinami trwa już jednak od jakiegoś czasu, a od 2008 r., kiedy rządy na Tajwanie objął Kuomintang (Chińska Partia Narodowa), stało się faktem. Przedtem porozumienia dotyczące np. komunikacji lotniczej podpisywali jedynie emerytowani oficjele lub szefowie teoretycznie prywatnych (ale przecież sponsorowanych i pozostających w kontakcie z rządem) fundacji.

Wielu obserwatorów usiłuje dziś odpowiedzieć na pytanie, czy spotkania takie jak to w Nankinie prowadzą do „zjednoczenia”. Wydaje się jednak, że ten ukształtowany w XX w. „dyskurs zjednoczeniowy” już chyba nie do końca trafnie opisuje

skomplikowane negocjacje pomiędzy Tajwanem a kontynentalnymi Chinami.

Jest tak choćby dlatego, że na kontynencie na stałe przebywa blisko 10 proc. populacji Tajwanu, czyli ok. 2 mln, a kolejny milion przyjeżdża tam do pracy. Są to głównie przedstawiciele wolnych zawodów, dziennikarze, gwiazdy show-biznesu, lecz także dentyści, restauratorzy, nauczyciele, a przede wszystkim menedżerowie i przedsiębiorcy. Wszyscy oni czerpią spore korzyści z ogromnego, bogatego się rynku, którego konsumenci wyrastają z tej samej kultury, mówią tym samym językiem i, co ważne, pragną tajwańskiego stylu życia.

Największym osiągnięciem niedawnego spotkania w Nankinie jest w tym kontekście otwarcie biur przedstawicielskich. Oznacza to, że Chińczycy z kontynentu mieszkający lub odwiedzający Tajwan i Tajwańczycy na kontynencie będą mieli swoje de facto (choć nie de iure) konsulaty udzielające im pomocy w miejscu zamieszkania.

Jeśli patrzeć na politykę prezydenta Tajwanu Ma Yin Jiu z perspektywy zero-jedynkowej, to Ma od 2008 r. kupczy niepodległością, zamieniając ją na bezpośrednie loty i większy komfort Tajwańczyków.

Jeśli natomiast przyjąć założenie, iż w dzisiejszym świecie na luksus całkowitej suwerenności mogą sobie pozwolić tylko niektóre państwa (np. USA, Chiny, Rosja i Indie), to Ma wytargował dla swoich wyborców całkiem sporo, być może więcej niż Polska w UE czy w relacjach z Rosją.

Jak historia oceni jego politykę, pokaze czas. Tymczasem wyborcy oceniają go fatalnie. Według ostatnich sondaży ma zaledwie 9 proc. poparcia i w 2016 r. odejdzie w niesławie. Prezydent Ma zdążył jednak dojść do punktu, w którym skutki jego politycznych decyzji zbliżających Tajwan do Chin mogą być nie do odwrócenia. Zostawia on więc swojemu, wywodzącemu się z obozu niepodległościowców, następcy twardy orzech do zgryzienia.

Tajwańska opinia publiczna ze swej strony nie wzbrania się przed zacieśnianiem relacji z kontynentem, ale tylko, jeśli tak jak do tej pory będzie to przynosić

Tajwanowi korzyść. Jednocześnie nikt na wyspie nie chce słyszeć o formalnym zjednoczeniu. Według ostatnich badań sprzeciwia mu się 80 proc. ludności.

Prezydent Tajwanu wytargował dla swoich wyborców od Chin całkiem sporo, być może więcej niż Polska w UE czy w relacjach z Rosją

Najtrafniej tę skomplikowaną sytuację opisał Ted Galen Carpenter z Cato Institute, twierdząc, iż od reunifikacji bardziej prawdopodobna jest finlandyzacja Tajwanu. Wyspa, decydując o swoich sprawach wewnętrznych, będzie bowiem jednocześnie tak mocno związana z Chinami, że w wielu wypadkach, by nie drażnić potężnego sąsiada, nie będzie podejmować decyzji, które mogłyby wywołać jego niezadowolenie.